

M. STAWISZ.

GORACZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

I.

32

Ale równocześnie cała groza położenia ojca i rodziny stanęła jej żywo przed oczami i nagle żal poczuła do siebie, za tę egoistyczną radość, której się tak bezmyślnie w pierwszej chwili unieść dała. Ciężkie westchnienie wybiegło z jej piersi; radosną nadzieję, która tak niespodziewanie zawiała w jej serce, trzeba było znowu przymocować odrzucić od siebie, bo myśleć tylko o sobie w tak przełomowej chwili wydawało się jej czemś złym, co zemścić się mogło i nowe na jej głowę przynieść nieszczęście. Bezradnymi, smutnymi oczami patrzyła na starego służącego, który obserwował ją z pod oka i wymówił niespokojnie:

— Więc powiadacie Franciszku...

— Eh! stary ze mnie a głupi — przerwał jej szybko. Niepotrzebnie tylko panience popsulem zabawę moim gadaniem. O nieszczęściu człowiek zawsze się na czas dowie... A może nie jest jeszcze tak źle, jak ludzie przypuszczają.

— Więc nie wiecie jeszcze nic pewnego? — zapytała Stasia ożywiając się trochę.

— Już od tygodnia gadali coś o tem po mieście. Mówił mi także o tem płatniczy z kawiarni, gdzie ojciec panienci chodzi. — Oni tam wszystko pierwszy wywieszają, bo panowie nie krepują się i przy nich o interesach mówią. Ale kto tam wiedzieć może. Niejednemu się już noga poślizgnęła, a jednak się wyratował w końcu.

— Ale mama i Kazia nic o tem nie wiedzą — prawda?

— A co by wiedzieć miały? Ja tylko tak przed panienką się wygadałem, bo wiem, że panience nie pieniądze i fuchy w głowie.

— Nie trzeba nic im mówić, Franciszku — szepnęła prosząco Stasia. — Nie trzeba! Tobie dla mamy cios był okropny! A może jak powiadacie, nie będzie jeszcze tak źle i ojciec sobie jakoś poradzi.

— A dalby Bóg panienko — odparł Franciszek, ale w głosie jego nie było szczerości ani przejęcia.

W tej chwili do pokoju wpadła Kazia, świeżo ulokowana w czerwonej matince, od której silnie odbijała jej mocno napudrowana twarz.

— Stasiu! bój się Boga! — zawołała poirytowanym głosem. — Tyle jeszcze jest do roboty, a ty tu się guzdrasz bez kofica! Mama kazala ci się spytać, czyś przygotowała programy do wieczoru? Ja już nic ci pomóc nie mogę, bo muszę się ubierać. Hrabia Guccio zaraz nadjedzie z pociągu a i zamówieni artyści także się zjeżdżać zaczęli. Muszę być gotowa na ich przyjęcie!

— Już się ubieraj i nie troszcz się o mnie — wymówiła machinalnie Stasia. — Wszystko będzie na czas gotowe.

— Ale ty zajmij się przecież swoim Markiewiczem — rzuciła jeszcze od drzwi Kazia. — Nudzi się biedaczysko i dyskretnie ziewa po kątach. Przyjemną ma z ciebie narzeczoną! Ja będę mieć dosyć do roboty ze swoim hrabią i zaproszonymi gośćmi.

Stasia nic nie odpowiedziała, tylko zabrała się do wykończenia porzuconych na chwilę bukiecików.

— Widzi mi się — przerwał milczenie Franciszek — że panna Kazia odpocznie dzisiaj od bawienia hrabiego Guccio.

— A dlaczego to? — zdziwiła się Stasia.

— Bo jeżeli on tam coś przewąchał w Krakowie, to się więcej tu nie pokaże — kończył stary, znacząco kiwając głową. — On się tam przecież dla pięknych oczu panny Kazi nie żeni, nie obrażając panienczki.

Stasia zagryzła wargi, bo nagle ogromna

złość i niechęć zanurzyła w niej, do tych wszystkich ludzi, których pieniądze ojca ściągnęły do ich domu i gorzkie, ostre słowa cisnęły się jej na usta. Ale opanowała się prędko, bo coś ona jedna przeciw nim znaczyć mogła. Bolało ją tylko, że matka i siostra, dały się tak łatwo złudzić fałszywym pozorem tej naglej przyjaźni i zainteresowania i nie widziały prawdziwych zabiegów, których cel był dla niej zawsze aż nadto jasny.

I do tego doszło, że taki stary służący litował się może nad niemi, a może i wyśmiewał w duszy.

— Niech się dzieje co chce — westchnęła ciężko. — Jeżeli prawda jest co on mówi, to ta katastrofa opamięta może mamę i Kazię, a przede wszystkim uwolni nas raz na zawsze od tych wstrętnych poszukiwaczy naszych posagów.

Urok liliowy szedł od łańcucha ciemniejących gór otaczających Zakopane i cicho kładł się po dolinach. Ostre orzeźwiające powietrze płynęło falami z jarów i wąwozów górskich, nio-



Kazia ciekawość tak zatrzęsała, że uniosła się na krześle i ponad głowami śledzących wypatrywać zaczęła Szulcowej z córką.

sąc przejmujące zapachy rozgrzanych za dnia słońcem świerków i roślin leśnych. Gdzieś z za Giewontu odcinającego się ciężką, olbrzymią plamą na tle dogasającego ostatnimi blaskami nieba, wyszła blado różowa kula księżycy i wysrebrzając się za każdą chwilą, stanęła zda się nieruchomo, jak duża lampka, posyłając ku ściszonej dolinie blade, zimne światło swoich promieni. — Ale w willi „Stamary”, oświetlonej rześciami rozbrzmiewającej wesółymi głosami i śmiechem, nikt chyba nie zauważył, że gwar ten gorączkowy i sztuczny, dziwnie nie harmonizował z głęboką, poważną ciszą, która zalegała wokół, że w to milczące skupienie wszystkich tajemniczych sił natury, śmiechy i głosy krzykliwe wpadały jak zgrzyty natrętne i dokuźliwe.

Każdy był tak zajęty podnieceniem się, łańcuchem zabawą i sobą, że na poddanie się uniesieniu, głębszemu nastrojowi, ani czasu, ani ochoty nie było.

Koncert dzięki staraniom Markiewicza i sił artystycznych przybyłych z Krakowa udał się znakomicie i zadowolili niewykwintne żądania zebranych gości, pragnących lekkiej muzyki i dosyć swobodnej rozrywki. Z estrady prowizorycznie urządzonej, wpadały na salę przepelnioną,

skoczne dźwięki kupletów nie tak może dowcipnych jak błazeńskich, pobudzając słuchacza do bezustannych oklasków i wybuchów śmiechu. Każdy chciał się zabawić szczerze, bo dla czegoż bawić by się nie miał za pieniądze „tych głupców Gawlików”, których kosztem bawiono się na równi z obfitym programem wieczoru.

Gawlikowa, pyszna, dumna swoją urojoną wyższością nad tłumem zaproszonych przez siebie gości, wodzila oczami po sali, śledząc stopień zadowolenia i podziwu, który był jej dziełem.

— Niech wiedzą, że Gawlikowie umieją urządzać zabawę jak się patrzy — mówiła do siedzącej obok niej Kazi. — Popatrzno jak wszyscy rozdziawili ślepią!

Ale Kazia wzruszyła tylko ramionami i syknęła przez zęby.

— Niechże mama już przestanie. Jeszcze kto usłyszy.

— Owa! dużo sobie z tego robię — odparła Gawlikowa, poprawiając się na krześle. — Ale cóż ty taka przykra jak chrzan. Nie daj się tak, bo ci z tem nie do twarzy. Jeszcze pomyśl, że małżeństwo twoje zerwane. Nie przyjechał, bo coś ważnego mu zajęść musiało i koniec. Przecież teraz do ślubu już niedaleko, to musi się zająć urządzeniem mieszkania. Baron Wikty także nie przyjechał i siedzi skwaszona i zła i ciągle tylko coś poszeptuje z matką.

— Co mama mówi? Nie przyjechał? — zdziwiła się przyjemnie Kazia.

— A nie! Na nic dzisiaj uwagi nie zwracasz. Pewno nawet jej nowej sukni nie widziałas.

— A nie — przyznała się Kazia.

— No widzisz, do czego podobne takie niepotrzebne zamyślenie.

— Niechże mi mama powie jaką ma suknię, bo nie widzę nic zład? — prosiła Kazia, którą słowa matki wprawiły już o lepszy humor.

— Ano, powiadam ci istne straszidło. Wygląda w niej jak kukielka z jaselek. A tyle o tej sukni narozpowiadały obydwie.

— Ależ jaka jest? jaka? nagliła Kazia.

— Zielona jak trawa majowa!

— Nie może być!

Kazia ciekawość tak zatrzęsała, że uniosła się na krześle i ponad głowami śledzących wypatrywać zaczęła Szulcowej z córką.

— No widzisz ją? — zapytała Gawlikowa.

— Widzę... ale się też ubrała! Jak na maskaradę.

— I te żółte koronki jak szafiran! co? Że też z porządnego magazynu wypuścili takie paszkwidło!

— Co im tam o to, byle zapłacił. już też ta Wikta nigdy żadnego gustu nie nabierze.

— A widziałas jaka siedzi zła i nadęta. Boi się o swego barona.

— Może już ją puścił — zauważyła złośliwie Kazia, zapominając o swoim zmartwieniu.

— Kto ich tam wie. Niewiadomo pociąga ją tak z tem ślubem. Baron ledwie nogami włóczy, a już parę miesięcy jak są zaręczenia — szeptała dalej Gawlikowa, której oczy błysnęły teraz nietajoną niechęcią i złośliwością.

— Spuściłyby irochę z tonu — dogadywała Kazia. — Chodzą obydwie pyszne jak pawie.

— A pewnie. Dosyć mi już one żółci ułaly — skarżyła się Gawlikowa, wdychając ciężko. — Odwróć się teraz w inną stronę — szarpnęła Kazię za rękaw, — bo się patrzy na nas i usmiechnij się, bo głowę pomyśleć, że martwisz się, że hrabia twój nie przyjechał. Jutro napiszesz do niego list przez Franciszka. Nagadał mu tam porządnie. Zajęcie zajęciem, a obowiązek dla narzeczonej pierwsza rzecz.

(Ciąg dalszy nastąpi).